

## Andrzej Szletyński

Ja się urodziłem przed wojną 21 grudnia 32 roku, a o tyle jest to data taka znana, że w tym samym dniu grudnia urodził się Józef Stalin. Urodziłem się na ulicy Przędzalnianej, bo tam był szpital wojskowy, a tata mój był oficerem. Jestem najmłodszy z całego rodzeństwa. Nas było trójka braci i siostra. Tata mój był też nauczycielem matematyki, bo skończył uniwersytet w Belgii przed I wojną światową. A później pracował już nie jako nauczyciel tylko w Inspektoracie Miasta Łodzi, teraz to się nazywa kuratorium. Dokuczali szkołom na wizytacji.

Moja mama i mój tata to byli święci ludzie, ja ich uważałem za świętych, chociaż Papież ich nie beatyfikował, ale moja mama chodziła codziennie do komunii. Była harcerką, oni tworzyli harcerstwo i skauting w Łodzi. I nie tylko oni, mojej mamy rodzeństwo, ciotka. Rodzice to są dla mnie bohaterowie i święci, cały czas organizowali ruch niepodległościowy. Mama była komendantem Pogotowia Wojennego Harcerek w 20. roku, jeździła na front pociągami sanitarnymi. Przyjeżdżała to się najpierw kąpała, bo zawsze wszy ją obeszły. Ja tatę bardzo krótko znałem, bo od 32. do 39., widziałem jak się żegnał z mamą 6 września, tak od tej pory go nie widziałem. 15 Sierpnia 39 roku już został zmobilizowany, bo był oficerem rezerwy i pracował na ulicy Legionów róg Świętego Jerzego, przed wojną było tam dowództwo okręgu korpusu wojskowego. W Łodzi przed wojną było bardzo dużo wojska, była artyleria ciężka 32 Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich.

Miałem wtedy nieskończone 7 lat, dostał rozkaz i wyjeżdżał z Łodzi. Ja mam taką odchyłkę na punkcie munduru właśnie. Przed wojną oficer to był ktoś, krótko – oficer nie mógł jeździć drugim wagonem w tramwaju, nie mógł się ożenić bez zgody dowódcy garnizonu, a jego mundur był tak wspaniały! Buty to miał takie, teraz nikt takich nie ma butów, wysokie oficerki i szablę miał piękną, srebrną z wygrawerowanymi napisami, dostał od swoich żołnierzy w 20. roku, i mapnik miał, pas jego był skórzany wewnątrz białym materiałem podszyty, no i czapka...

Żegnał się z mamą, byli wtedy 17 lat małżeństwem i koniec już więcej się nie zobaczyli, to było wieczorem, bo było ciemno, w małym pokoiku tata stał w tym mundurze, z szablą przy boku, w ostrogach i tak się rozstali i już się nie zobaczyli. Tata został zamordowany w Katyniu. Był w tym grobie, który został odkryty w czasie wojny przez Niemców, już wtedy się dowiedzieliśmy, mam kopie listów od taty. Oryginały miał mój najstarszy brat, też bohater, żołnierz Powstania Warszawskiego.

Tata wyjeżdżał z Łodzi z jednym z fabrykantów łódzkich, bo ten młody człowiek też był powołany do wojska, też był oficerem, ale on miał samochód i pojechali na wschód. I tam już 17 czy 18 września Rosjanie ich złapali. Bo to była ta data najazdu sowieckiego. I jak wielu oficerów polskich maszerowali najpierw piechotą do stacji, potem wsadzili ich w pociągi i zawieźli do Kozielska. W Kozielsku był obóz, tam był dawny klasztor prawosławny i tam w tym pustym klasztorze Rosjanie zrobili obóz dla jeńców, którzy nie byli jeńcami, bo Polska nie wypowiedziała wojny Rosji ani Rosja Polsce. To była zbrodnia sowiecka. I tam siedzieli do kwietnia i po tym słynnym rozkazie Stalina wieźli ich do Katynia i tam mordowali.

A myśmy w tym czasie siedzieli tu w Łodzi, moje rodzeństwo chodziło wtedy do szkoły powszechnej, a ja miałem iść akurat do pierwszej klasy 1 września, ale już nie poszedłem, bo mnie nie puścili. 12 grudnia 39 roku mojego rodzeństwa nie było w domu tylko mama i ja, i przyszli Niemcy, żandarm Niemiec i czterech Volksdeutschy w nowo powołanej Pomocniczej Policji Niemieckiej, oni byli naszymi sąsiadami, po polsku dobrze mówili, po niemiecku gorzej.

Jak on dzwonił do drzwi i ja poleciałem, bo byłem szybszy, otworzyłem drzwi i patrzę taki w hełmie stoi facet i pyta się gdzie jest mój ojciec, ja powiedziałem, że poszedł na wojnę bić się z Niemcami. Powiedział, że jesteśmy wysiedleni i koniec. Dali nam godzinę. Ci policjanci radzili nam z dobrego serca, żeby brać jak najmniej, ale z drugiej strony, co się uniesie. I żeby ciepłe rzeczy, bo zima 39 roku to była zima stulecia, Niemcy zamrozili na wartach, było poniżej 30 stopni. I ci faceci poszli jeszcze po moich braci i siostrę no i nas zabrali. Ja zabrałem tylko taki maleńki lakierowany chlebak, w którym nosiłem do przedszkola drugie śniadanie, w to moich Indian i kowboi włożyłem.

Zabrali nas na komendę na Kościuszki, to wszystko była jeszcze wtedy prowizorka, bo to był grudzień pierwszego roku okupacji, i stamtąd tramwajami na Radogoszcz do obozu, tam trzymali takich jak my i kompletowali wycieczkę. Wrażenie to na mnie zrobiło wielkie. Mali ludzie, co mają po 7 lat to się tak strasznie nie boją, za to są bardzo ciekawi. Drut kolczasty, brama, reflektory jaskrawe i psy. Od przystanku ustawili się żandarmi z bronią i darli się po niemiecku. W salach stały prycze ze słomą. Przyszedł esesman z formacji SS nie tych wojskowych tylko policyjnych. Na czapce miał trupa czaszkę. I kazał oddać wszystkie zegarki, kosztowności i wszystko do depozytu i że to wszystko otrzymamy z powrotem na miejscu. Oczywiście nic nie dostaliśmy i nikt się nawet nie ośmielił prosić. Czyli mama została z czworgiem dzieci już nawet bez tych marnych pieniędzy. Po kilku dniach zawieźli nas na Dworzec Kaliski i tam wpakowali do wagonów bydłowych, to byli sami nauczyciele, urzędnicy, inteligencja. Jednocześnie wtedy wykańczali profesorów w Krakowie.

Moi bracia i siostra to dostali polecenie, że mają się bawić i w kółko latać po tym wagonie, żeby nie zmarznąć. A mnie otulili żebym przeżył. I nas dowieźli do Krosna na Podkarpacie. I tam powiedzieli nam, że możemy iść gdzie chcemy, jesteśmy wolni, ale nie można nam wracać do Rajchu. I mama trafiła na panią, której mąż też był w niewoli rosyjskiej i dała nam pokoik, tam była taka puszka, a w niej smalec. Do dziś, gdy poczuję zapach smalcu to mi się to Krosno przypomina. Lataliśmy codziennie na obiad do rzeźnika, mama owijała nam głowę szalem i tylko szparki na oczy były. I biegiem lecieliśmy.

Tam byliśmy miesiąc i znalazła nas ciocia Marysia, siostra mamy. Ale nie była jaka siostra, ona pracowała przed wojną w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dzisiejszym Edukacji, na alejach Szucha, w tym słynnym później gmachu. Ona była fantastyczna postać. Już wtedy była członkiem Rady Naczelnej Szarych Szeregów. Była jedną z czterech Harcmistrzyń Rzeczypospolitej. Wszyscy żartowali, że ciocia Marysia była idealna, jeśli chodzi o połączenia kolejowe, miała taki piękny rozkład, wydawany przez PKP, jak książka i ona wszystko wiedziała. I ciocia Marysia znalazła nas, w jaki sposób, nie wiem. I zabrała nas pociągami. Zawiozła nas do Sandomierza, a pod Sandomierzem była szkoła rolnicza, miejscowość Mokoszyń a tam kiedyś dyrektorem była moja druga ciotka, Zosia, ale już wtedy nie żyła. Była tak mała, ponoć jak się urodziła była wielkości łyżki wazowej. I też była harcerką, wszystko to banda spiskowców. Szkoła miała normalny majątek, konie, krowy, ale Niemcy wpakowali tam artylerię przeciwlotniczą, to był rok 1940 i szykowali się na Związek Radziecki. Do pierwszej Komunii Świętej byłem 15 sierpnia 1941 w katedrze Sandomierskiej. Ciocia Marysia w Warszawie działała w Radzie Głównej Opiekuńczej tolerowanej przez Niemców, organizowała sierocińce, domy dla dzieci i działała w tajnym Pogotowiu Wojennym Harcerek. Była kierowniczką internatu dla dziewcząt w Skolimowie i najpierw zabrała siostrę do Warszawy, umieściła ją u siostr na Powiślu, później mojego brata Jerzego, a ja zostałem ze Stasiem, z mamą do 42 do lutego. Potem siedziałem w internacie w Konstancinie w pięknej willi. Mieliśmy sypialnię, a było nas 24 chłopców, w takim pięknym salonie, 24 łóżka szpitalne. A wszystkie ściany obite były surowym jedwabiem. Ten pan był

wyznania mojżeszowego i on się nie dał Niemcom, a to była jego posiadłość. To była willa Piaski, z pięknym parkiem i lasem, szklarnią. Ale jeść to tam nic nie było. Byliśmy cały czas głodni, że nie do wytrzymania. Był czasem twaróg luźny i kasza plujka. Całą wojnę nie jadłem kawałka mięsa, ani kiełbasy, bo to było dla nas niedostępne.

W lipcu 44. wszystkich chłopaków, którzy nie skończyli 14 lat wywieźli do Zalesia Górnego na wakacje. 28 Lipca żegnałem się z mamą, której już więcej nie zobaczyłem.

Od 1 sierpnia Niemcy ostrzeliwali budynek, na 6 sierpnia 16, Pogotowia Wojennego Harcerki, a ludzie siedzieli w piwnicach. Zjawili się ci z oddziału kryminalisty Kamińskiego i dom po domu opróżniali, mężczyzn i chłopców zabijali na miejscu, a kobiety i dziewczynki wyprowadzali ulicą. Tam były przejścia piwniczne, specjalnie przygotowane przez Armię Krajową, piwnice były łączone. Łączniczki przechodziły piwnicami i dostały polecenie, by się prędko wycofały. A mama i ciotka Marysia one dwie zostały, powiedziały, że one wyjdą, ale z mieszkańcami, dlatego, że one nie mogą opuścić tych ludzi. No i koniec. Mamę i ciotkę rozstrzelali i spalili. Tak, że nawet prochów nie ma. Kilka dni temu śniła mi się mama, jak ją rozstrzelują.

Ja z tymi chłopcami matymi, z tą gromadką w listopadzie 44. wywieźli nas do Kościeliska koło Zakopanego. Mieliliśmy wychowawczynie, harcerki starsze, jedna z nich mówiła po niemiecku i ona poszła ze mną i jeszcze jednym chłopakiem do Niemców i pułkownik zgodził się dać nam wagon towarowy, który można było przyczepić do transportu wojskowego i z tym transportem pojechaliśmy do Krakowa, przez Kielce. W Skierniewicach towarzysze ostrzeliwali z samolotów ten pociąg. Nam kazali wyskakiwać i pod wagony się chować. I z Krakowa do Kościeliska. I tam to już w ogóle nie mieliśmy co jeść, tam to już był koniec. Chodziłem po Tatrach w drewnianych butach, w marynareczce uczniowskiej, bez jedzenia.

No i przyszedł maj i ludzie kombinowali, jak tu się wydostać z tego Zakopanego, bo wszystkie mosty były wysadzone, i Rosjanie nas zabrali ciężarówką za darmo, bo my mali byliśmy. Z Krakowa pociągiem przez Koluszki, wopiści wpakowali nas przez okno do ubikacji, bo nie można było wejść.

Jak przyjechałem do Łodzi 9 maja 45 roku po 6 letniej nieobecności i na Fabrycznym wysiedliśmy, to mi się ta Łódź strasznie mała wydawała. Dom był pusty, częściowo rozgrabiony, naszych rzeczy nie było tam nic, Niemcy wszystko wywieźli. Ciotka Hanka, siostra mamy, mieszkała piętro niżej. My wyrzuceni i tak strasznie skrzywdzeni przez Niemców i przez los, nie mogliśmy się do tego mieszkania wprowadzić, bo już były komunistyczne porządki, trzeba było podania pisać, udowadniać...

Ja jeszcze 6 klasę musiałem skończyć, we wrześniu poszedłem do szkoły powszechnej na ulicy Próchnika wtedy Zawadzkiej. Chodziło się z garnuszkiem, bo w szkole dawali zupę. A potem gimnazjum i liceum, byłem w liceum do 50 roku. Jak się zaczął od września rok szkolny, to już się zaczęła konspiracja. Moja przyszła żona Ala wymyśliła organizację niepodległościową. Nie miałem skończonego liceum jak nas zamknęli.

Myśmy byli obywatelami Rzeczypospolitej a tu przyszła jakaś banda, orły mieli podobne do kury, nie do orła. Na Legionów zaraz były koszary i tam była zorganizowana szkoła oficerów politycznych i ci to dopiero byli czerwoni. I to nie jest prosto dzisiaj wytłumaczyć, ale dla nas to było wtedy proste. Była Polska, było wojsko nasze, chorągwie, sztandary i państwo było nasze, policja była nasza, wszystko było nasze swojskie. I raptem nie wolno było o tym wszystkim nawet wspominać, zrobiła się Polska Ludowa. Nas to strasznie denerwowało, bo żeby oni jeszcze nie pluli na tę II Rzeczypospolitą, ale oni cały czas pluli, szczególnie na

oficerów Wojska Polskiego. Jak w Warszawie szła procesja Bożego Ciała to Bierut pod rękę prowadził księdza z Monstrancją. A później mordował wszystkich księży.

Czytaliśmy książki i do kina chodziliśmy do upojenia, szkoła dawała bilety, takie małe karteczki dla uczniów. Ala Perz moja przyszła żona była w klasie 9, o rok niżej. Nie znałem jej wcześniej, byłem w klasie męskiej w innym miejscu. Miałem u niej w klasie kolegę Ryśka. A potem przyszli, nawet nie pamiętam, kto, chociaż ubowcy bardzo chcieli, żebym sobie przypomniał, i zaproponowali mi w czasie przerwy, powiedzieli, że tworzy się taka organizacja i spytali, czy bym chciał należeć. To ja oczywiście, że chciałem! Jesienią członkowie tej organizacji wybrali mnie na dowódcę. Cała reszta to była cywilbanda, tylko ja i kolega byliśmy harcerzami. I tak działaliśmy, a to żeśmy zniszczyli dekoracje 1 majową, Ala pisała ulotki, które rozrzucaliśmy w mieście, gazetkę wydawaliśmy. Nie mieliśmy na czym i nie mieliśmy pieniędzy. Napisali w naszym wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego, który liczy 40 stron, że pieniądze przekazywaliśmy ze swojego kieszonkowego, swoje pieniądze żeśmy dawali. Miałem przyjaciela serdecznego z jednej ławki Józka, którego ojciec był dyrektorem Muzeum Przyrodniczego w Parku Sienkiewicza. I on nas tam wprowadzał i myśmy tam drukowali, bo tam był powielacz. I rozrzucaliśmy z tylnego pomostu tramwaju, trudno było nas złapać. Ja byłem drużynowym, ale komuniści w 49 roku zlikwidowali harcerstwo i kazali oddać sztandar. Ale sztandar przepadł i dali mi go na przechowanie i na ten właśnie sztandar organizacja nasza składała przysięgę. Związek Białej Tarczy nie było co! Ci z UB się dziwili, że myśmy to sami robili, myśleli, że ktoś nami kierował i że ksiądz najlepiej, bo im pasował zawsze ksiądz. Jeden z kolegów, ten Kaziu miał znajomych za granicą, ktoś mu przysyłał, ale jakieś neutralne rzeczy, to już się strasznie cieszyli, że ktoś z zagranicy tym kierował. Sądzeni byliśmy nie przez normalny sąd tylko przez Sąd Wojskowy, wszyscy cały związek, przez zdradę. Spece od kryminalistyki wiedzą jak to się robi. Nasza działalność była przede wszystkim skupiona w szkole. Nasza szkoła była ciągle na celowniku, bo żadne święto komunistyczne nie mogło się odbyć, bo myśmy wszystko niszczyli. Po lekcjach wleźliśmy na taki balkon w sali gimnastycznej, tam się pokładliśmy aż wszyscy poszli i zamknęli szkołę. I buszowaliśmy. Pisaliśmy sporo ulotek, sporo egzemplarzy i rozrzucaliśmy nawołując „Śmierć komunistom”. Główna różnica między Solidarnością a nami, między młodzieżą, która teraz ma przekonania prawicowe a nami, myśmy uważali się za żołnierzy i myśmy chcieli zabijać komunistów, bo to byli śmiertelni wrogowie.

Teraz nie widzi się enkawudzistów na ulicy a wtedy ja idę ulicą Żeromskiego i moi znajomi leżą na placu Zielony Rynek i strzelają i do nich też strzelają. Strzelają Sowietów w 49 roku. Oni mieli swoją kwaterę, Rosjanie, NKWD na rogu Gdańskiej i Zielonej. Po prostu myśmy walczyli o niepodległość. Na nas się mówi druga konspiracja, to był ciąg dalszy czasów okupacji, tylko się okupant zmienił. Ci, co wtedy mieli szczęście, że mogli wykombinować broń, to ją używali. Jacyś chłopcy siedzieli na stogu siana za Ogrodem Botanicznym w stronę Konstancynowa, żołnierze KBW do nich a oni do nich, podeszli, żeby się poddali a oni w nich granatami. No, bo była wojna, przecież ci weszli jako okupanci, mordowali naszych żołnierzy. W 45 i 46 w szpitalach było dużo rannych żołnierzy rosyjskich i oni łazili po ulicach. Coś okropnego tak chodzili. W 46 roku uniwersytet się otworzył i oni złapali studentkę, zgwałcili i zamordowali. To jak ci ludzie młodzi mieli się do tego odnosić? Każdy szukał broni.

Obserwowali nas a my zachowywaliśmy zasady konspiracji, w szkole nie gadaliśmy o takich rzeczach, ale nastroje nasze i kim my jesteśmy to wszyscy koledzy też znali, ale i koleżanki. Była taka, która była przewodniczącą Związku Młodzieży Polskiej i ona musiała donosić i tak po trochu, po trochu doszli. A oprócz tego mieli jednego zwerbowanego towarzysza.

24 Czerwca 50 roku, był koniec roku szkolnego rozdali nam świadectwa, no i koniec szkoły. Ja zamiast do domu to pojechałem do mojej narzeczonej, bo moja przyszła teściowa mnie karmiła, byłem zawsze głodny, bo nie miał mi, kto dawać jedzenia. A na drugi dzień rano już wszystkich zgarnęli, po kolei. Moją żonę też zawieźli ciężarówką na Anstadta. Pierwsze co, to zaczęli od bicia, niektórzy z nas nie mieli skończonych 17 lat. Nie mogliśmy się w ogóle kontaktować. Na korytarzu to było tak, że jak prowadzą i ktoś idzie z drugiej strony, to krzyczy i trzeba się obrócić nosem do ściany. Zastaniają, żeby nie widzieć. Ściśta izolacja, żeby nikt nie mógł porozumieć się między sobą. Spotkałem kiedyś Alę na korytarzu, tu jej krew leciała po twarzy, bluzka podarta i prowadziło ją dwóch facetów. Wtedy okropnie było. Ala była specyficzna, jak było otwarte okno i ją przestuchiwali to doskoczyła do tego okna i się darła na całą ulicę – Gestapo. A jak ją uderzył to mu oddała, co było głupotą, bo ją tak strasznie skatowali. Ale potem za to radzieckiemu Żydowi, który spisywał przestuchanie dyktowała, co ma napisać, bo biedak miał problemy z językiem polskim. Żyd, który prowadził to śledztwo z nami, to nie umiał dobrze pisać, to był humor, bo on pisał stalówką i zawsze mnie pytał jak ma napisać, w kwestii ortografii.

Mnie przestuchiwali bez przerwy, pierwsze jak mnie przywieźli to postawili mnie nosem do okna, które wychodzi na park Helenów i pół godziny stałem sam nieskuty kajdankami i nikt się mną w ogóle nie interesował. Nie można powiedzieć, że ja mogłem wtedy wziąć i uciec, bo nie można było nawet przejść prawą stroną ulicy, bo stali żołnierze KBW z pepesami. Potem bito mnie nogą od krzesła. Jak się wchodziło do pokoju, to wszędzie leżały połamane krzesła, no jak to, a to służyło właśnie do bicia. Każdy z nich miał swoją ulubioną broń, takie gumowe pałki, wtedy policja nie nosiła jeszcze żadnych pałek. Oni mieli chyba ponemieckie i pięścią bili. Jak walną ten starszy chorąży w to prawe ucho, to do dzisiaj jestem głuchy. Głównie Żydzi bili. Po 89 roku jak IPN powstał to przyszła pani prokurator i przyniosła nam galerię zdjęć tych funkcjonariuszy, rozpoznanie, żeby pokazać, kogo my znamy i tylko jednego znaleźliśmy, tego chorążego, bo on dzień w dzień był. I żona wymieniła nazwisko, a ta pani prokurator mówi – on się tak nie nazywa, ona miała napisane nazwisko żydowskie.

Mieli taki sposób, że przez te pierwsze dwa dni, 48 godzin w ogóle nie dawali nam jeść i pić, ani do ubikacji nie wypuszczali. I cały czas wypytywali. Jeżeli już nie mieli czasu, ani o co pytać, to wtedy kazali nam mówić życiorys w kółko po 10 razy. Po to tylko, żebym ja mówił, a on żeby siedział. Później w nocy nie dali zasnąć. Potem sprowadzili do aresztu w tym gmachu w piwnicach, to były normalne piwnice, jak się kartofle trzyma, z tym, że one były zamknięte na tyle dobrze, że nie można było wyjść. I stała prycza, czyli coś takie podwyższenie z desek i nas było siedmiu i wszyscy na kupie spali. Wypuszczali rano do umywalni, takie koryto było, że trzy krany, załatwiać się też trzeba było na komendę. Koleżanki z naszej organizacji też siedziały, tylko nie mogliśmy się komunikować. Ala, nawet nam w domu, niechętnie opowiadała, co przeżyła podczas przestuchań. Opowiadała o Fordonie to było ciężkie więzienie dla kobiet. Jako młoda dziewczyna stała w karcerze w wodzie i okno otwarte było, a ona się plecami przyciska do ściany, żeby zachorować, bo można było wtedy pójść do szpitala. Ala dostała 12 lat więzienia.

Napisali akt oskarżenia, choć prokuratora nie widziałem na oczy. Wtedy sądy działały bardzo szybko i sprawnie. Skończyli śledztwo we wrześniu a pod koniec października, czy listopada była sprawa. Sąd Wojskowy był wtedy na rogu ulicy Kilińskiego i Moniuszki. To się nazywało Wojskowy Sąd Rejonowy. W tym sądzie był sędzia oficer i dwóch ławników żołnierzy, prokurator też w mundurze. Ale najważniejszy na tej rozprawie to nie był ten sąd, tylko oficer z Urzędu Bezpieczeństwa, bo on siedział wśród publiczności i tylko czekał, kto się tam źle zachowa. I zgonili tam z 15, z liceum uczniów, kolegów z klasy. Nie byliśmy przestraszeni,

to było dla nas tak bardzo ważne, byliśmy dumni, Ala, Wiesia, Baśka nawet miały włosy uczesane na tej rozprawie. Po pierwsze wszyscy powiedzieli, że niczego nie żałują i że się przyznają do wszystkiego. Nie błagali, nie prosili o niskie wyroki i darowanie winy. Myśmy byli groźni. Przywozili nas skutych w kajdankach. Nas chłopców z więzienia na Sztetlinga, (odbywały się tam kary śmierci a obecnie, o ironio, mieszają się tam gabinety Medycyny Estetycznej – adnotacja Izabela Łapińska) i wprowadzali nas pod strażą, ci z bronią maszynową, jak najgorszych bandziorów i tak do nas mówili – bandyci. Mojej przyszłej żonie zakładali kajdanki i się wściekał milicjant, bo te kajdanki z niej spadały, za luźne były. To wzięli sznurek i sznurkiem je przewiązali. Humor i satyra. Przewodniczącym sądu był kapitan Bohatyrowicz, późniejszy adwokat, czasem spotykałem go na Piotrkowskiej, już dawno po wyjściu. Pyta się mnie, dlaczego to robiłem, ja mówię, że między innymi dlatego, że Sowietci zabili mi ojca, a skąd pan wie, mówi, skąd wiesz, bo nie na pan, tylko obywatelu, bo przecież panowie to w Londynie byli. Ja mówię, jak to skąd. W procesie Norymberskim prokurator radziecki strasznie chciał, żeby włączyli tę sprawę, jako winę niemiecką i osądzili Niemców, a sąd Norymberski nie zgodził się. Rodzice niektórych chcieli dać w trakcie procesu jedzenie, to powiedział bandytom się nie należy. A ci, co nas konwojowali mówili - oni to powinni pod murem kremłowskim leżeć, tacy byli ideowi komuniści. Was to powinno się rozstrzelać na miejscu! To ja mówię, strzelaj!

Najpierw siedzieliśmy na Sztetlinga, razem z bumelantami, oni po jednej stronie korytarza, tu była krata, a tylko nasze dziewczyny po tej stronie. I one miały tam dobrze, bo to nie było więzienie dla kobiet, więc wszyscy strażnicy mieli atrakcję, bo to były młode dziewczyny. Jeden ze strażników przyniósł Ali sweter.

Powód skazania – Sądy Wojskowe Rejonowe sądziły zgodnie z Kodeksem Karnym Wojska Polskiego, KKWP art. 86.

Wyrok - żona 12 lat a ja 15 lat. Jak ktoś ma 17 czy 18 lat i mu mówią, że jak wyjdzie będzie miał trzydzieści kilka lat, o Jezu ile to będzie! Odsiedziałem niecałe 5 lat. Siedziałem w Rawiczu, Centralne Więzienie Karne Rawicz i w Jaworznie. Zabudowania tego więzienia w Jaworze to zabudowania fragmentu obozu w Oświęcimiu, a komuniści wybudowali do tego bloki murowane, bo Niemcy mieli baraki. W 51 roku uruchomili tam więzienie progresywne dla młodocianych. Progresywne, bo mieli nas tam przekształcić na komunistów. Wychowawcy tam byli, przyjeżdżali literaci, był dom kultury, osobny duży budynek, trzypiętrowy. I tam była sala teatralna, sala kinowa, na dole stołówka i były pracownie. Miałem kolegę, z Akademii Krakowskiej Artystycznej go zgarnęli, on tam robił z gipsu różne rzeczy. Inny kolega zakładał radiowęzeł. Po prostu sztuki teatralne wystawialiśmy, ja akurat nie, ale mój kolega. To była sztuka o wojnie w Korei, o tym jak paskudni imperialiści są i jak męczą tych Koreańczyków. Przyjeżdżały filie biblioteki z Katowic, Nawet mam książkę „Noce i dnie”, kupiłem sobie i jest napisane - Jaworzno 20 lutego 53 rok. I pogadanki różne były, na których wszyscy spali, oczywiście snem sprawiedliwym, bo przecież to było nudne jak flaki z olejem. Całą tą część, gdzie więźniowie byli ogrodzili wysokim murem i wieżyczki były, nawet dosyć ładne, tam siedzieli z karabinami maszynowymi strażnicy. Oprócz tego muru jeszcze zostało ogrodzenie z drutu kolczastego pod prądem, to po Niemcach zostało. Na drutach wisały lampy i wieczorem włączano prąd, bo te lampy się zapalały. Poza tym były zakłady, jak stolarnia, prefabrykacja betonów, technikum mechaniczne. Więźniowie pracowali w trzech kopalniach, w Kopalni Sobieski, Kopalni Komuna Paryska, ja nie pracowałem. Pracowałem na stolarni, jestem stolarz. A później pracowałem w domu kultury właśnie, pisałem pogadanki i referaty dla Podstawowej Organizacji Partyjnej. To strażnicy mieli pisać, ale nie umieli.

Rawicz to jest stare niemieckie więzienie jeszcze z czasów Cesarza Wilhelma. Okropne! Tam zamordowali przecież marszałka Sejmu tego przedwojennego. W tamtym czasie w więzieniu nie było kryminalistów, nie wiem, gdzie oni byli. Nie spotkało się tam złodzieja, tylko wszyscy z Artykułu 86 – Kto przemocą usiłuje obalić demokratyczny ustrój Państwa Polskiego podlega karze od lat 5 do kary śmierci łącznie. Z bardzo fajnymi ludźmi siedziałem, z prawdziwymi żołnierzami, z oficerami, z majorem Bońcą z lasów świętokrzyskich, z żołnierzami z oddziału Ponurego. Wszyscy na karę śmierci skazani.

Jak wieźli nas do Rawicza, to siedmiu nas wieźli, przeważnie moi koledzy z organizacji, byliśmy skuci po dwóch i wiozło nas sześciu żołnierzy KBW, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jeden był strzelec wyborowy z karabinem, jeden miał karabin maszynowy, a reszta miała pepesze. I my mówimy, kolego żeście się na nas tak nastawili i tyłu was jest a my skuci jeszcze, – bo jest dewiza Ministerstwa Bezpieczeństwa – strzeżonego Pan Bóg strzeże, gdybyście wy uciekli, pomyślcie ile byśmy musieli pieniędzy wydać, żeby Was załapać. I taki główny oficer bezpieczeństwa, ale po cywilnemu, miał zamówione dwa przedziały, ale w pociągu normalnym, pośpiesznym do Jeleniej Góry, na wczasy wtedy jeździli ludzie pracy. Na Dworcu Kaliskim, ludzi jak cholera, kazali wychodzić ludziom z tych przedziałów, a to młode kobiety z małymi dziećmi na rękach no i awantura. Nareszcie umieścił nas po dwóch, ale ci ludzie przecież nie wyszli z tych przedziałów. No i teraz dopiero jest sprawa. Nic im nie dawać, nie wolno podawać nic, to są bandyci, ale ludzie zaczęli nam dawać, papierosy, jabłka ...dojechalismy do Rawicza i tam wysiadać i klękać, wszyscy klękają i przyszli ci strażnicy uzbrojeni z więzienia. Krok prawo, krok w lewo konwój strzela. I tak nas prowadzili przez ulice, nie chodnikiem. Wejście do Rawicza to trzy bramy, ustawili nas w dwuszeregu i przyszedł oficer z bezpieczeństwa, on chodził w mundurze straży więziennej, ale on był z UB, ten to się nazywał w naszej gwarze „dziecko łódzkiego bruku”. Pytał za co, za co siedzisz, a każdy był z jakiejś organizacji, czy wojska konspiracyjnego i każdemu dawał w twarz na przywitanie. Czapkę miał tak zsuniętą i krzyczał – wy żeście jeździli karetami, a ja w rynsztoku się bawiłem!

Czułem złość, pisałem do mojej żony grypsy np. każdy pocisk wystrzelony przez żołnierzy amerykańskich w Korei przybliży naszą wolność. Nie bałem się. Siedziałem ze starszymi, współczułem im, młodzi to są fizycznie bardziej wytrzymali, zdrowsi. Siedziałem z dyrektorem Banku Narodowego z Kościuszki, imię specjalnie – Irmin, zawsze się tak przedstawiał. Jak się kładliśmy spać, to mieliśmy taki ubaw, my chłopaki młode, bo on był składany, odkręcał nogę – protezę, wyjmował protezy zębowe ...a zamknęli go za to, bo zakopywał dolary złote w tym ogródku na Kościuszki, w tym banku.

Ja wyszedłem z więzienia w 54, w listopadzie, miałem podarte spodnie, cholera wstydziłem się wyjść, ale oni mi wydali to ubranie, w którym mnie aresztowali, to był mundur oficera amerykańskiego. UNRRA ta organizacja przysyłała, nowe to było, tylko ufarbowane na czarno. Przyjechałem do Łodzi i poszedłem szukać mojej narzeczonej. Zaraz po ślubie dostałem powołanie do wojska, ale taki wróg nie mógł trafić do normalnego wojska, trafiłem do Wojskowego Korpusu Górniczego. Jednostka 2740 Kopalnia Zabrze Wschód. Ja tam trafiłem z Rawicza, więc mnie się podobało. Tutaj wojsko normalne, rano pobudka. Rekord pobitem w swojej kompani, 3 i pół minuty z łóżka na zbiórce. Tam dobrze nas karmili, ale szybko, Zjedli - powstań, nie ważne czy zjadł czy nie zjadł. W nocy góra chrapie, dół gwizdże, bo to były piętrowe łóżka. Każdy mężczyzna powinien być w wojsku.

Dziś czasem myślę - po co ja siedziałem w więzieniu, w tym karcerze, zamknięty przez 48 godzin, na betonie spałem, w ciemnicy, za kratą, żeby teraz tacy zdrajcy z partii, którzy wieszali naszych bohaterów, generała Fieldorfa, czy innych wspaniałych szlachetnych ludzi,

nie wiem, po co ja tam siedziałem! Teraz oni rządzą. Ja się denerwuję, bo ja widzę mojego ojca jak klęczy przed dołem i strzelają mu w tył głowy. Putin to zbrodniarz, gorszy niż Hitler, a oni się teraz z nim wszyscy całują. Tak samo okrągły stół, oni poszli pić z nimi wódkę! No tak los pokierował i historia. Piłsudski powiedział: wam się wydaje, że za 10 groszy i za dwie krople krwi będziecie mieć niepodległość!? Nie, trzeba walczyć! A nie pyskować i pić wódkę z Kiszczakiem – zbrodniarzem! Bo moi rodzice, moi wszyscy bliscy zginęli, brat mojego ojca Jurek Szletyński starszy sierżant I Brygady Legionów zginął pod Konarami, 24 godziny konał, trafiony został w głowę i nie mogli go wyciągnąć, bo był taki ostrzał. Miał 21 lat. Jak dziś ktoś mówi - ja jestem komunistą, to co ja mam czuć?! Mnie się niedobrze robi! Dla mnie komunista to jest wróg śmiertelny.